

Te przemieszane znaczniki gatunkowe nie pojawiają się tutaj bez przyczyny: Artur Daniel Liskowacki para się wszystkimi trzema rodzajami literackimi. Stąd być może interdyscyplinarne rozumienie tekstu jako tworu nie dość (na szczęście!) skonwencjonalizowanego, by ostatecznie go zamknąć i nie móc do niego dopowiadać.

Warunkiem udanego przekazu u Liskowackiego jest aktualność wypowiedzi – nie jej ponadczasowość w sensie uniwersalnym. Ważna jest anegdotyczność historii, nawet jeśli częściowo zapomnianej, to ożywianej mową (choćby ona sama miała mówić o konfrontacji samych języków). Dlatego też narrator-gawędziarz w tomie tych autorskich impresji nie będzie snuł opowieści heroicznych, nie będzie powtarzał półmartwych legend; wyjdzie na nagą scenę, mrugnie porozumiewawczo do publiczności i nawet gdyby zapomniał przygotowanego tekstu, to zgrabnie opowie o sytuacji, która właśnie mu się przydarza. Paradoks, który tutaj można zaobserwować – z jednej strony, umieszczenie języka w Skercu jako głównego bohatera, a z drugiej, dość niefrasobliwy do niego stosunek – to kolejny pomysł Liskowackiego na skerco-skecz. Nie sposób bowiem założyć (i chyba nie o to tutaj chodzi), czy większą owację wywoła wypowiedzenie dowcipu, czy fakt jego zapomnienia przy świadkach.

W tym miejscu należałoby wrócić do potencjalnych didaskaliów. Artur Daniel Liskowacki jako narrator-gawędziarz jest nosicielem języka w sensie niedosłownym. A może i dosłownym – w każdym razie używa go wybornie, a widownia (słuchownia?) klaszcze i chciałaby jeszcze.

A tu: o! Koniec.

Joanna Żabnicka

Mordercy niczym się od nas nie różnią

Paul Britton

Profil mordercy

przełożył Przemysław Kiliński

Wydawnictwo Znak

Kraków 2010

Nie ma chyba w Polsce liczącego się wydawnictwa oferującego beletrystykę, w którego katalogu nie znajdują się powieści kryminalne. Omawiany tytuł na szerokiej półce z różnymi kryminałami co prawda sąsiaduje, ale zarazem należy do innego świata, w odniesieniu bowiem do Profilu mordercy mówić możemy o tak zwanych faktach autentycznych. Paul Britton, autor, spisał fragment swoich doświadczeń w zawodzie psychologa kryminalnego, czyli kogoś, kto kreśli portrety osobowości przestępców. I choć książkę się czyta z wypiekami na twarzy jak kryminał z pierwszego tłoczenia, to wyzuta jest ona z literackich fajerwerków – wątków sensacyjnych, romansów z pięknymi kobietami. Otrzymujemy surowy opis żmudnej, drobiazgowej roboty, co w wypadku profilerów oznacza robotę papierkową.

Britton opisuje detale kilkunastu okrutnych morderstw dokonanych w Wielkiej Brytanii. Opisuje subtelnie, z jednej strony, nie zdradzając za wiele z tajemnic śledztwa, z drugiej – zachowując elementarne poczucie przyzwoitości wobec ofiar. Wystawiając z racji „lekkości” książki, nie

należącej przecież do kanonu literatury fachowej, powierzchowną diagnozę współczesnego społeczeństwa, może mimo wszystko przerażać. Jak wtedy, gdy powiada: „nie powinno nas dziwić, że państwo West zabijali przez ćwierć wieku, zanim w końcu wpadli. W naszym społeczeństwie cały czas ludzie przychodzą i znikają, żony opuszczają mężów, nastolatki znikają z domów, autostopowicze nie docierają do celu”. Czy Britton chce powiedzieć, że powinniśmy się oswać ze znieczulicą i tym, co XIX-wieczni intelektualiści nazywali atomizacją społeczną? Czy może przede wszystkim powinniśmy głośno zapytać o mechanizm funkcjonowania grup społecznych, wcale nie będących częścią tłumu bez twarzy? Spójrzmy na nasze, swojskie, wsie. Sześciuset mieszkańców i nikt niczego o nikim nie wie. Nie powinno nas to dziwić? Rosemary i Frank Westowie zamordowali kilkanaście kobiet, grzebiąc ich zwłoki w przydomowym ogródku i własnej piwnicy.

Niektóre fragmenty książki Brittona uderzają mnie z innego, niż kryminalny wątek, powodu. Nie wyobrażam sobie kariery na jego podobieństwo robionej w Polsce. Facet pracuje jako asystent do spraw eksportu w firmie produkującej części samochodowe, ma 27 lat, żonę i dwójkę dzieci. Zdaje maturę, trafia na uczelnię, studiuje zarządzanie, przenosi się na wydział psychologii, wreszcie zostaje stażystą na stanowisku psychologa klinicznego i tak dalej. Niesamowita wprost historia. Człowiek z ulicy zostaje studentem, potem stażystą, a w efekcie najbardziej cenionym profilerem w Wielkiej Brytanii.

Pierwsze portrety osobowości przestępców tworzono w Stanach Zjednoczonych. „W przypadku przygotowywania profili najdrobniejsze informacje o zbrodni są analizowane. Ważne jest wszystko: miejsce, czas, broń, ofiara, okrucieństwo ataku i stopień zaplanowania zbrodni. Każdy z tych elementów mówi coś o osobie

sprawcy”. Britton nazywa psychologię kryminalistyczną nauką, na którą złożyły się doświadczenia psychologów więziennych, a także terapeutów pracujących z pacjentami, „którzy popełnili przestępstwa w rezultacie zaburzeń psychicznych”. Co sugeruje? Sugeruje, że profilowanie może się stać przedmiotem badań, a ostatecznie umiejętnością, której można się nauczyć. W ten sposób rysuje dość poważny problem, o którym napomykają niekiedy psychologowie z doświadczeniem w pracy śledczej. Żałą się, że policjanci traktują profile sceptycznie, że często niesprawiedliwie stawia się znak równości między profilerem a wróżbitą. Ów sceptycyzm łatwo zrozumieć. Przesłanki do sceptycyzmu wobec przekonania, że tworzenia prawidłowych profili można się nauczyć, dostarcza sam Britton, pisząc o rozmaitych psychologach, którzy na fali modnego, dającego rozgłos medialny romansu psychologii z policją kryminalną, teorii z praktyką, podejmowali się tworzenia portretów osobowości wprowadzających w błąd śledczych. Z jednej strony, Britton podkreśla, że źródło jego analiz stanowiła literatura fachowa i praktyka kliniczna; z drugiej strony, okazuje się, że istnieje różnica między czytaniem a czytaniem. To coś jak sytuacja dwóch braci, z których jeden osiąga wybitne rezultaty w jakiejś dziedzinie, a drugi, bazując na tym samym źródle, nie zbliża się nawet do poziomu rzemieślnika. Pytanie brzmi: dlaczego geniusz nie potrafi doprowadzić brata na szczyt? Kwestia „naukowości” umiejętności zwanej tworzeniem psychologicznych portretów jest mocno złożona. Być może należałoby tutaj mówić o talencie. Poniekąd więc Britton ma rację, ale swoje racje, uzasadnione, mają także doświadczeni policjanci, ignorujący robotę psychologów. Błędy stają się udziałem obu stron, „jedną z największych pułapek, w którą czasami wpada detektyw prowadzący śledztwo, jest postawienie hipotezy i wyszukiwanie faktów, które by ją potwierdzały”. Psycholog próbujący się zmierzyć z kreśleniem portretu osobowości musi +

z kolei zdawać sobie sprawę z potencjalnych szkód wyrządzonych w śledztwie w wypadku błędnie opracowanego profilu: „jeśli się pomyłę, to będę miał na sumieniu czyjeś życie – ktoś trafi do szpitala lub więzienia oraz straci wszystko co mu drogie: dom, pracę, żonę i rodzinę”. Profiler stąpa po grząskim gruncie, ale w tej drodze, powiada Britton, towarzyszy mu policjant, który z wypowiedzi profilerza korzysta. Nie chciałbym być w skórze żadnego z nich, a jednak działać trzeba. Trzeba wybierać i podejmować decyzje. Jak to robić?

Z książki Paula Brittona płynie jeszcze jeden niepokojący wniosek – jest nim sugestia granicząca z pewnością, że mordercy niczym się od nas, tak zwanych normalnych, nie różnią, „jest to ścieżka, którą może podążać większość z nas”. Wniosek Brittona zbieżny jest ze stanowiskiem Philipa Zimbardo, przekonującego, że zło jest naszą potencjalnością, że sytuacja, okoliczności z każdego z nas mogą uczynić potwora. Zbieżny jest ów wniosek również ze stanowiskiem szaleńca Wilhelma Reicha, przekonującego w latach 30. ubiegłego wieku, że faszyzm nie jest niemieckim wynalazkiem, ale uśpioną możliwością w naturze człowieka. Powinniśmy już bać się samych siebie? Na zakończenie raz jeszcze oddam głos autorowi omawianej książki: „Wiem – nie podejrzewam, ale jestem pewien – że na wolności żyją seryjni mordercy, którzy być może nigdy nie zostaną ujęci i których tajemnice są ukryte w ogrodzie, leśnym zakątku albo piwnicy”.

Jacek Uglik

Literackie kobe le Carrégo

John le Carré

Zdrójca w naszym typie

przełożył Jan Rybicki

Wydawnictwo Sonia Draga

Katowice 2011

Zdrójca w naszym typie to bajka, w której zdradzający musi ponieść karę, bo nie ma bajek bez morałów; to bajka, w której kozioł ofiarny podkłada się pod nóż, a czytelnik walczy o jego życie z większym zaangażowaniem, niż robią to w powieści brytyjskie służby specjalne. John le Carré to wciąż szpieg w skórze pisarza, który tylko czyha na naiwnego przechodnia, by wciągnąć go w literacką grę obnażającą jego ukryte pragnienia obcowania ze złem. Bajka le Carrégo nazbyt przypomina rzeczywistość, gdzie ostre podziały między tym, co złe, a tym co dobre, straciły już sens; jednak to czytelnik wypełnia hitchcockowskie „puste pola” przedmiotem swej fascynacji.

John le Carré w mistrzowski sposób wykorzystał możliwości, jakie niesie ze sobą literatura – przestrzeń, w której bezkarnie i dla przyjemności kontemplować można nikczemność. Pisarz, wprowadzając do powieści szanowanego w rosyjskim świecie przestępczym wora, który łamie omertę (zmowę milczenia), by ocalić swoją rodzinę przed nieuczciwym Księciem, podnosi bandytę do rangi „świętego przestępcy”; a czytelnik, podchwytyjąc ten trop, widzi w Dimie Prometeusza walczącego o życie rodziny z niesprawiedliwym światem przestępczym. Rosjanin jest jednak częścią tego świata, któremu wypowiada wojnę, dotyczy go kodeks, któremu